

Przedmowa

Poniższy tekst powstał w 1999 roku, jako reportaż sprawozdawczo-komentujący Zjazd Regionalny UW. Miał być opublikowany w lokalnym wewnętrznym biuletynie partii, nie został jednak puszczony przez cenzurę ;-). Dzisiaj, po prawie sześciu latach, patrzę na niego z uśmiechem. Oby tylko takie były problemy... Wtedy jednak targały mną wielkie emocje, rozważałam nawet „rzucenie legitymacją”. Powstrzymało mnie jednak to samo socjologiczne zainteresowanie funkcjonowaniem organizacji, jaką jest partia polityczna, które było przyczyną związania się z nią i trwania w niej do dzisiaj.

Reportaż zdecydowałam się udostępnić w sieci z dwóch zasadniczych względów. Po pierwsze, opisywane w nim konflikty dawno się zdezaktualizowały, a zdecydowanej większości wspomnianych postaci od dawna nie ma już w UW bądź też usunęły się one na margines działalności. Po drugie – mam nadzieję, że lektura okaże się interesująca dla młodszych kolegów, którzy zaczynają swoją przygodę z polityką. Być może przygotuje ich psychicznie na twarde zderzenie z rzeczywistością, na które ja wówczas nie byłam gotowa... Pewne zjawiska będą bowiem istnieć zawsze i wszędzie, gdzie istnieje walka o władzę.

Agnieszka Sosnowska, marzec 2005

PS. Zamiłowanie do bicia głową w ścianę zostało mi do tej pory ;-)

Zjazd oczami młodej i naiwnej

czyli wrażenia najmłodszego delegata

Zacząło się całkiem niewinnie – od, przyznaję, nieprzemyślanego wstrzymania się od głosu w sprawie miejsca w porządku obrad głosowania nad parytetowym charakterem wyborów. Zaraz jednak zawołała mnie siedząca kilka miejsc dalej N. Przysiadłam się. Wtedy rzucił się na mnie z pazurami siedzący z drugiej strony J.

– Jak ty głosowałaś?! Przecież umawialiśmy się w piątek, że głosujemy blokiem!! Dlaczego łamiesz dyscyplinę?!

– Ja się, do diabła, z nikim nie umawiałam i do niczego się nie zobowiązywałam! Głosowałam tak, jak inni młodzi demokraci – odparłam zaskoczona.

– Spokojnie – powiedziała N. – Agnieszko, znamy się od wielu lat. Wiesz, że chcę dla ciebie dobrze. Chcę, żebyś usiadła koło mnie i głosowała tak jak ja. Młodzi demokraci grają na dwie strony, nie chciałabym, żebyś w to wchodziła.

– Ale ja zostałam wybrana na delegata właśnie z ramienia S"MD" – próbowałam się postawić, bardziej dla zasady, niż z innego powodu. W końcu mamy demokrację, nie?

– Zostałaś wybrana dlatego, że byłaś kandydatem zarządu koła i ktoś powiedział parę dobrych słów o tobie. Sama powiedz, ilu jest młodych w naszym kole, którzy mogliby cię poprzeć? – ucięła dyskusję N.

No fakt, pomyślałam, niewielu, właściwie wcale. Wiedziałam doskonale, że bez poparcia unitów nigdzie nie byłabym wybrana, aż tak naiwna nie jestem.

Ale byłam naiwna na tyle, żeby nie dowierzać szeptom z kularów o jakimś tajnym sobotnim posiedzeniu "rzeźbiarzy" unijnych, o wzajemnym patrzeniu sobie w kartki

wyborcze i wręcz obowiązku pokazywania tych kartek kontrolerom. Szepty te wydawały mi się dość przesadne, ale...

Kolejną osobą, która wezwała mnie na rozmowę, był P.

– Czy możesz mi powiedzieć, dlaczego głosowałeś tak, jak głosowałeś?

– Myślałam, że czas rozpatrywania parytetów jest w gruncie rzeczy obojętny, a tylko głosowania personalne wymagają ścisłej dyscypliny. Nie wiedziałam, że to głosowanie jest tak ważne – odpowiedziałam szczerze.

– Było ważne. To było głosowanie sondażowe, pokazujące zwartość poszczególnych regionów – tłumaczył P.

– Przepraszam, nie pomyślałam o tym. Ale – tu odezwał się we mnie duch przekory – skąd pan właściwie wie, że w wyborach na przewodniczącego zagłosuję na Y, a nie na X?

– Myślę, że poznałem cię na tyle dobrze, że wiem. Zresztą, powiedz mi, kto zrobił karierę przy X? A ty chyba chcesz zrobić karierę w Unii?

O, pomyślałam sobie, jeżeli pan tak stawia sprawę, to pan mnie zupełnie nie zna. Nie wypowiedziałam tej myśli głośno – a szkoda.

Moje nieco nadszarpnięte nerwy uspokoiła pogawędka z G., dotycząca głównie tematów całkiem neutralnych. Chociaż i tu wdarł się cień.

– Ciekawe, czy będziesz miała jakieś wymówki za to, że tak długo ze mną rozmawiasz – pół żartem, pół serio zastanawiała się G.

– Szczerze mówiąc, mam to gdzieś – odpowiedziałam.

W czasie pytań do kandydatów, na "poważną rozmowę" zaprosiła mnie do baru N.

– Chciałabym, żebyś wiedziała, że do zarządu koła i na delegata nie zostałam wybrana dzięki zabiegom S"MD". Wiem, że nie było żadnych starań ze strony chłopców w tym kierunku. Oni tobą manipulują. Chcą wykorzystać to, że jesteś pracowita i sumienna, a przy tym młoda i niedoświadczona. W tym głosowaniu wstrzymali się, bo grają na dwa fronty. Ja gram w jednym obozie, i chciałabym, żebyś ty też tak robiła – bo tylko w tym obozie masz szansę zajścia gdzieś wyżej. Znam cię od dziecka, mam do ciebie zaufanie, dlatego poparłam twoją kandydaturę w wyborach. Mam też nadzieję, że wystartujesz w wyborach samorządowych. Chciałabym, żebyś pokazała mi swoją kartkę, jak będziesz głosować – przekonywała mnie N.

Lecz tu znowu wzięła we mnie górę przekora i młodzieńczy bunt.

– Mówi pani, że ma do mnie zaufanie. To dlaczego prosi mnie pani o pokazanie kartki? Przecież to świadczy właśnie o braku zaufania.

W końcu jednak obiecałam pokazać tę kartkę. Nie wstydzę się własnych decyzji, zwłaszcza jeśli są to decyzje przemyślane. Zresztą i tak od dawna byłam zdecydowaną zwolenniczką kandydata obozu N. i P. – i nie potrzebowałam do tego żadnej zachęty; był to mój własny wybór, zgodny z moimi przekonaniem. Tym, co N. mówiła o moich kolegach z S"MD", nie byłam zaskoczona. Mimo że jestem sekretarzem łódzkiej młodzieżówki już drugą kadencję, nigdy nie czułam się poważnie przez nich traktowana – no, chyba że trzeba było odwalić jakąś robotę. Zdążyłam już zrozumieć smutną prawdę, że ludzie popierają się tylko wtedy, gdy mają w tym jakiś interes, przy czym nie wahają się przed mało uczciwymi metodami zdobywania zwolenników. Z tym, że nie widziałam najmniejszego powodu, by nie stosować tej zasady również do N.

Przed powrotem na salę obrad zdążyłam jeszcze zamienić kilka słów z S.

– I co, dalej uważasz, że jestem największym "zamordystą"? – zaśmiał się, gdy wyliczyłam mu osoby, które zdążyły już mnie ochrzanić za "niesłuszne" głosowanie. ("Zamordystą" nazwałam go w związku z metodami, jakie stosował rok wcześniej w czasie wyborów w łódzkim S"MD").

– Nie. Odwołuję, odszczekuję i najmocniej przepraszam cię za to określenie – odpowiedziałam. – To, co tu się dzieje, to naprawdę lekkie przegięcie pały.

A potem zaczęły się tajne (sic!) wybory na przewodniczącego. Wszyscy członkowie S"MD" po odebraniu kart do głosowania mieli wyjść z J. i głosować wspólnie. Nie protestowałam; zrobiło mi się już wszystko jedno. Przemknęła mi wprawdzie przez głowę myśl, czy otwarcie i z premedytacją nie skreślić zupełnie innego nazwiska niż chciałam – tylko po to, by udowodnić swoją niezależność wszystkim, którzy odbierali mi prawo do samodzielnej decyzji i własnych poglądów. Szybko się jednak zreflektowałam; gdyby mój kandydat przegrał tym jednym głosem, w życiu bym sobie tego nie darowała.

Przed wrzuceniem kartki do urny, zgodnie z obietnicą pokazałam ją jeszcze N. Jednak tego, jak głosowałam, nie zdążył zobaczyć K.

– Jak głosowałaś? – spytał.

– Głosowałam ze wszystkimi, pod kontrolą J.

– Czyli tak, jak chciał J.? – upewnił się K.

– Nie. Tak jak ja chciałam – odparłam, kładąc wyraźny nacisk na "ja", bo znowu zaczęło mnie to wszystko wkurzać. Z rozbawieniem zauważyłam lekkie zaniepokojenie na twarzy K.

– Przez przypadek moje chęci były zbieżne z chęciami J. – uspokoiłam go.

Ponieważ po obiedzie zostało jeszcze trochę czasu do wznowienia obrad, przyjąłm zaproszenie G. na lody. Trudno mi ocenić, ile było w tym sympatii do samej G. i lodów, a ile chęci pokazania, że nie obchodzi mnie, co sobie inni pomyślą na temat moich przyjaznych stosunków z osobami z przeciwnego obozu.

Po powrocie, w oczekiwaniu na wyniki wyborów przyłączyłam się do stolika, przy którym siedziało kilku młodych demokratów oraz przybyły parę minut wcześniej O.

– Nie, nie jestem delegatem – odpowiedział O. na pytanie któregoś z chłopców – Widocznie mi nie ufają. Oni ufają tylko sobie. I to też nie zawsze.

Zaśmialiśmy się z tych słów. Ale, jeżeli chodzi o mnie, był to bardzo smutny śmiech.

Przy okazji zastanowiła mnie jeszcze jedna rzecz: O. jest wieloletnim działaczem Unii, bez wątpienia bardziej doświadczonym i zasłużonym niż na przykład ja. Czy właśnie dlatego nie został delegatem?

Głosowanie na członków rady regionalnej przeszło ulgowo. Nie miałam żadnych obiekcji co do uznania decyzji dawnych władz regionów. Zresztą, jak mi ktoś potem tłumaczył, "jeśli byśmy nie obiecali Sieradzowi wyciąć jego opozycji, to Sieradz nie poparłby nas". Ech... Nie miałam już siły, by patrzeć, kto kontroluje, czy aby na pewno skreślam właściwe osoby według ściąg.

Natomiast postanowiłam zainteresować się uchwałami. Spytałam N. o "nasze" stanowisko wobec nich.

– Nie mam pojęcia, ale będziemy patrzeć, jak głosuje R. – usłyszałam.

Mało mnie szlag nie trafił. Zrozumiałam, że tak naprawdę w tym całym zamieszaniu chodzi tylko i wyłącznie o stołki; całą resztą interesowało się może kilkanaście osób. Właściwie powinnam się sobie dziwić, że zrozumiałam to tak późno. Po co było organizować ten cały zjazd? Przecież wszystko mogły między sobą ustalić rady regionalne poszczególnych województw, skoro zjazd był tylko zatwierdzeniem ich wcześniejszych decyzji. Po co zmarnowano tyle czasu i pieniędzy, które można by było lepiej wykorzystać? Czy po to, by kilkadziesiąt osób mogło się łudzić, że ma jakiś wpływ na cokolwiek?

Wróciłam na salę obrad, na swoje miejsce obok J.

– Jak ci się podoba zjazd? – zagał.

– Nie bardzo. Źle się czuję w roli maszynki do głosowania – odpowiedziałam.

– Zrozum, tak jest wszędzie – próbował mnie pocieszyć J. – Tak samo jest w Radzie Miejskiej, w Sejmie. A jak nie podporządkujesz się dyscyplinie, to wylatujesz z partii. Musimy popierać kogoś, żeby on poparł nas. Gdyby tutaj nie było dyscypliny, może pojawiłby się jakiś trzeci kandydat...

– I może wtedy wygrałby ten, kto ma rzeczywiście największe poparcie, a nie ten, na którego każą głosować? – spytałam, z trudem tłumiąc rozgoryczenie. Czułam się jak mrówka, która niebacznie zaplątała się w tryby jakiegoś mechanizmu, gdzie każdy nieuważny ruch grozi zmiążdżeniem. Mechanizm ten, obcy i przerażający, jak również sposoby poruszania się w nim, zaczynałam dopiero poznawać. Zastanawiałam się tylko, po co uparcie biję głową w ścianę – przecież i tak nic nie zmienię, co najwyżej pogorszę swoją własną sytuację.

Zdaję sobie sprawę z tego, że mam tylko dziewiętnaście lat, jestem młoda i naiwna. I nie wiem, czy mają jakiś sens pytania, jakie zadawałam sobie tamtego dnia przed snem, chlapiąc w poduszkę jak dziecko, któremu zniszczono ukochaną zabawkę: W co ja wdepnęłam?? W jakie bagno pogrążam się od ponad trzech lat?? W imię czego poświęcam swój czas i wysiłek?? I gdzie są w Unii ci ludzie, którzy dwadzieścia, trzydzieści lat temu walczyli o Wolność i Demokrację!?

31 maja 1999 roku